

Anna Stuchly

lekarz stomatolog

Serce biło mi jak szalone. Siedziałam w ławce w obcej szkole, wśród obcych dzieciaków, a do klasy wpadały osoby, które wprowadzały jeszcze większy stres.

- Biol-chem?

Tym razem to chyba woźny. Mały, nadruchliwy mężczyzna, rzucił tylko na nas okiem, machnął ręką i po słowach "nie kurczcie się tak!", wypadł z pomieszczenia. Ten sam "woźny" w trzecim roku mojej edukacji w Kasproviczu wtargnął na pierwszą lekcję historii i zaczął monolog, który był jego i naszym udziałem przez dwa semestry.

- Napoleon był małym, niezbyt urodziwym mężczyzną na krzywych nogach, o orlim nosie.

Wszyscy zamarliśmy. I choć już wiedzieliśmy, że domniemany woźny ze wstępnych, to profesor Motyka, to i tak okazał się być nim samym! Napoleonem!!



Zapach obieranej pomarańczy unoszący się nad głowami publiczności zgromadzonej na widowni dużej sceny Teatru Starego w Krakowie. Tak to Ona. Niepowtarzalna, uwielbiana przez nas profesor Janikowa to uczyniła. Rudy kok, makijaż a'la Brigitte Bardot, niegasnące, intensywne róże, fiolety, czerwienie, borda i to wszystko eklektycznie połączone odległymi od siebie deseniami określały styl i klasę nie tylko naszej wychowawczynie, ale i sali polonistycznej na pierwszym piętrze. Nie mogłam się doczekać poniedziałku, kiedy to dwie pierwsze lekcje przypadały na spotkanie z "Dzianią". Nie mogłam się doczekać, jaki będzie look po weekendzie, bo w każdym znajdowałam inspiracje. Przez wiele lat po szkole czesałam ten sam kok. Nie mogłam się doczekać, czy tym razem znowu futro wyląduje na koledze z pierwszej ławki, a my całą klasą będziemy kontemplować obraz Delacroix przy dźwiękach koncertu fortepianowego Chopina, czy może pani profesor zechce nas zagiąć na kochankach Mickiewicza.



-Retikulum endoplazmatyczne!!

Z rozpostartymi jak skrzydła rękami, zeskakiwał z katedry w stronę skonfundowanej młodzieży (nas) jak orzeł bielik do pierwszego lotu. Takiego głębokiego przeżywania spodziewaliśmy się raczej na lekcjach polskiego. Dziady, Konrad Wallenrod lub Kordian to były potencjalne powody do wzniosłego tonu, podniesionego głosu i prawie sylabizującego, namaszczonego zachwytem wypowiedzianych słów. Nic bardziej mylnego!! Nie miało znaczenia czy chodziło o faunę czy florę, o mikrokosmos komórek czy makrokosmos gatunkowy. Profesor Knauer był absolutnym pasjonatem swojej dziedziny. Lekcje biologii. Niezapomniane, jedyne w swoim rodzaju i z ekspresją zmienną jak prawdziwa, rasowa sinusoida. Po czasie nauczyliśmy się

rozpoznawać znaki. Jeśli wkraczał do sali krokiem żwawym, wyprostowany, z dziennikiem w dłoni to wiedzieliśmy, że będzie rzeź niewiniątek.

- Czym różni się mitoza od mejozy!?? Ty! Nie wiesz! Ty! Nie wiesz!! Ty! Ty! Pała! Pała! Pała!

Nie miało sensu nawet łapać oddechu, bo Janusz był od każdego z nas szybszy o pierwszą prędkość kosmiczną. Dwie trzecie klasy dostawało jedynki. Nie było możliwości, aby uniknąć tego, co nieuniknione. Jeśli profesor wchodził do sali cichutko, z głową pochyloną ku podłodze, wolno, a dziennik trzymał pod pachą, wiedzieliśmy, że wszystkie te negatywne oceny znikną. Właściwie nie zniknęły, zostawały zakreślone. Tym sposobem mieliśmy na stronie z biologią rebus wielokrotnego przekształcenia. W trzeciej klasie było pięć biologii tygodniowo. Najszersza możliwa interpretacja programu nauczania zajmowała nam trzy. To był przełom w relacji z profesorem. Okazał się być cudownym, ciepłym i -co zaskakujące- cierpliwym człowiekiem. Opowiadał nam, jak zabił przypadkowo jaszczurkę będąc uczniem, jakąś szczególnie ważną. Opowiadał nam jak sobie radzić z testami na medyczną i jak ważne są w życiu przyjaźnie. Kochaliśmy go od początku, ale wtedy ta miłość nabrała głębi.

- Panie Profesorze, mogę o coś prosić?

- Jasne Ola, mów.

- Panie Profesorze pan do mnie mówi Ola, ale ja naprawdę nazywam się Ania. Może pan zwracać się do mnie Ania?

- Oczywiście! Nie ma sprawy, ale wiesz Ola, jaki ja jestem roztargniony.

Moja młodsza kuzynka Karolina przez cztery lata była Anią. Ja, niestety, nigdy nią nie zostałam.



Nie było chłopaka w szkole, który nie dostawał paraliżu na Jej widok. Ja też dostałam. Na pierwszej lekcji geografii w ILO przywitała nas piękna, przypominająca Vanessę Paradis i Kate Moss w jednym pani profesor. Dla chłopaków to był jak strzał Amora, dla mnie jak dejavu ze szkoły podstawowej. Profesor Majewska, zwana powszechnie Młodą Mają uczyła mnie od czwartej do ósmej klasy w szkole podstawowej i w tamtej właśnie szkole pożegnała nas z życzeniami powodzenia na wstępnych. Nie było żadnej przesłanki, że spotkamy się znowu i to tak szybko. Tym sposobem, gdy przerabialiśmy cirrusy, cumulusy, cumulonimbusy ja zniemacka dostawałam pytanie:

- Anka! W jakich górach są Góry Skaliste?

- W Kordylierach.

- Dobrze.

Na żadne zajęcia nie byliśmy tak bardzo przygotowani i tak bardzo zestresowani przed nimi. Kosa to mało powiedziane. Automatyczna, wielofunkcyjna o skuteczności 99% to już szybciej. Miałam łatwiej niż reszta klasy, bo przecież nie dało się nie nauczyć geografii w poprzedniej szkole. Pomimo tego i tak solidarnie przeżywałam rozterki z moimi współtowarzyszami niedoli. Długa przerwa, w powietrzu wisi kartkówka z ostatnich tematów. Iwona błaga mnie żebyśmy poszły do Mai poprosić o zgodę na przejrzenie skamielin.

- Pani profesor, możemy pooglądać kamienie na przerwie??

- Anka!! Jakie kamienie?? Jakie kamienie?! To są skały i minerały!! Po tobie się tego nie spodziewałam!!

Miała rację, spłyciłam temat maksymalnie. Geografia w Kasprowiczu dla wszystkich nas była wyzwaniem, ale absolutnie nikt nie żałował ani jednego z nią spotkania. Profesor Majewskiej czas nigdy nie ujął ani urody, ani charyzmy. Wciąż jest dla nas Młoda Maja.



Tylko od nas zależało ile będzie trwała lekcja. W dzisiejszych czasach powiedzielibyśmy, że miał wywalone. Ale wystarczyło zadać jedno pytanie i ratowaliśmy jego płuca od kolejnej, niepołamowanej dawki nikotyny między 20 a 45 minutą lekcji, a siebie od impertynencji językowej. Jedno pytanie wystarczyło żeby profesor Oratur zapomniał o swojej największej słabości, patrz wyżej, i zajarzał się tak, że nie nadążaliśmy zapisywać niuansów, idiomów i sposobów użycia słów. Uczył nas wyrażania po angielsku dokładnie tego, co chcieliśmy przekazać, w sposób nietuzinkowy, a już na pewno nie szkolny - książkowy. Miał kilka tików, które w tamtych czasach były dla nas przyczynkiem do przedrzeźniania go. Szurał nogami, czyścił sobie uszy podczas lekcji i wywraçał gałki oczne tak, że było widać tylko ich biel. Zawsze w marynarce, zawsze gotowy żeby odpalić papierosa, siebie lub nas jak zasłużyliśmy. Lubił nas a my jego, to była taka nasza "tajemnica poliszynela".



Bez niego to nie byłaby ta sama szkoła. Maestro. Czasem na szybko w autobusie przebieraliśmy się w śląskie stroje, czasem zapominaliśmy tekstu, czasem byliśmy jak banda nierozgarniętych matołków. On nam wszystko wybaczał. Prawie. Zdarzało się, że za karę robił głupkowate miny, które w sytuacji - występ na scenie, w kościele, w domu kultury, na oficjalnej uroczystości były dla nas trudnym wyzwaniem. Dyrygując czterema głosami naszej chóralnej gromady, zdarzało się, że było ich więcej i wtedy ten samozwańczy piąty lub szósty dostawał kuksańca, stawał tyłem do publiczności i zaczynał pokaz pantomimy twarzy. Tylko raz zdarzyło się tak, że na deskach domu kultury „Strzecha” tak się na nas wkurzył, że tuż przed podniesieniem kurtyny zostawił nas samych. Nasz ukochany Maestro porzucił swoje krnąbrne

owieczki. W tamtej chwili padł na nas blady strach i zalał wstyd. Kolega na klawiszach, chyba jedyny przytomny, zadał czym prędzej tonację i jak nigdy zaczęliśmy równo, razem, bez żadnej fałszywej nuty. Gdy dotarliśmy do refrenu wrócił. Z tej radości wypaliliśmy tak głośno, że aż publika się poderwała. Wrócił szczęśliwy i dumny. Więcej już nigdy tej granicy nie przekroczyliśmy. Jeździliśmy z nim na obozy letnie do Gąsek, na rozśpiewaniu dźwięki gamy brzmiały "piwo, wino, piwo, wino, wa", wyjeżdżaliśmy na tournée do Niemiec podczas roku szkolnego, uciekaliśmy przed sprawdzianami mówiąc, że idziemy na próbę chóru, która była co najwyżej wirtualna. Wtedy nikt tego słowa nie znał, a my już go używaliśmy. Do dziś śpiewamy podczas spotkań mszę Schuberta, pieśni do słów Eichendorffa, raciborskie przyśpiewki folkowe. Do dziś czujemy się częścią chóru, który był dla nas oknem na świat, ważną częścią tożsamości i dał nam przyjaźnie na całe życie. Wychował pokolenia, dla których był mentorem i kumplem jednocześnie. Piotr Libera, niezapomniany, niepowtarzalny, wyjątkowy.